

BROSZURA LITERACKA

BROSZURA LITERACKA

Walają się wszędzie, ja swoją znalazłem na podłodze, przy wejściu. Patrzyła się na mnie napisem BROSZURA LITERACKA i jakimś zbyt drobnym drukiem atakowała oczy. „Co znowu” pomyślałem i podniosłem. Tak zaczęła się moja przygoda z pierwszym numerem gazetki, która ma aspiracje zadbać o to, abym miał co czytać na wykładach, w przerwach między zajęciami i po zajęciach. Nie jest wydarzeniem kulturalnym, nie jest głosem żadnego pokolenia, ani wyznacznikiem trendów w literaturze. Nie promuje autorów, to nie oni są najważniejsi. Najważniejsi są czytelnicy. To do nich BROSZURA LITERACKA ma jedną prośbę:

Poczytaj.

Na początek eksperymentalny tekst Szymona Bogacza o czymś, co wielu z nas doskonale zna z autopsji. Rozwarstwiające się i nigdy niekończące wątpliwości i rozterki sercowe podane w intrygującej formie.

Zapraszamy
Redakcja

Szymon Bogacz

Dobry początek

To tak na dobry początek, pomyślałem, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że patrzy na mnie. Zaczerwieniłem się. Poczułem gorąco na twarzy. Musiała to zobaczyć, bo zaraz odwróciła wzrok. Ale ja już nie mogłem się wycofać. Pomyślałem, że teraz albo nigdy. Powiedziałem sobie, że muszę to w końcu zrobić. Że muszę do niej podejść, muszę powiedzieć... powiedzieć cokolwiek. Żeby spojrzała i żeby nie odwróciła wzroku tak jak teraz. Żeby popatrzyła dłużej. Wtedy jej powiem. Tak, wtedy powiem, że ją kocham. Że nigdy nie byłem zakochany, ale że od kilku miesięcy nie jem, nie mogę się uczyć, nie mogę spać. Powiem jej to wszystko. Na pewno zrozumie. Na pewno się uśmiechnie. Złapie mnie za rękę i będziemy już razem. Zupełnie razem. Muszę tylko podejść. Zrobić te dziesięć kroków. Stoi właściwie tuż obok mnie. Pod drzewem. Rozmawia ze znajomymi. A ja stoję na środku alejki i jak palant patrzę się na nią. Zresztą nie ważne. Ważne, żeby to zacząć. Żeby wyjść na stuprocentowego palanta, ale żeby zacząć. Żeby to zrobić. Potem niech się dzieje co chce. Właściwie już zrobiłem pierwszy krok. Taki niewielki, malutki. Zrobiłem i przyszło mi na myśl, że podchodzę

robię kilka kroków, niby odważnie i nagle potykam się! Boże! Tak pomyślałem! Pomyślałem, że się potykam, że lecę jak długi, że rękami macham jak wiatrak, by uratować się od upadku! Pomyślałem, że ona to widzi, że patrzy na mnie i że oczy jej stają się wielkie ze zdumienia. A ja wtedy ląduję. Ląduję tuż przed nią, tuż pod jej stopami, i lądując

zahaczam, tylko nieznacznie zahaczam o jej sukienkę. Zahaczam dłonią. Prawą, albo lewą. Właściwie nie całą. Tylko jednym, najmniejszym piątym palcem. Zahaczam i ku własnej zgrozie widzę jak ona sukienka trzymając się i najmniejszego palca schodzi z niej ruchem płynnym, zupełnie jak ona się śmieje. Jak śmieje się i błyskawicznie odsuwa, żebym przypadkiem nie zdarł jej

widzę, że wyciąga do mnie rękę. Że wyciąga dłoń swoją piękną, delikatną, białą. Wyciąga dłoń, chwytając mnie mocno za nadgarstek i uśmiecha się tajemniczo. Uśmiecha się, puszcza oko i mówi ale ja nic nie słyszę. Naprawdę nic nie słyszę. Zaczynam pytać, prosić o powtórzenie. Ona jest że mi pomoże. Żebym się chwycił. Moja bogini mnie podciąga. Uśmiecha się do mnie

jakoś nie tak. Że to sztuczne, że ona to zobaczy. Fakt, spojrzała znowu, ale znowu niczego z jej twarzy nie mogłem wyczytać. Stałem. W panice zacząłem udawać, że wiążę sznurowadła. Kucnąłem i wiążę. Zapamiętałem, wielkie pętle. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie wycofać, czy może spróbować kiedy indziej, jak będzie ładniejsza pogoda, albo jak ona będzie sama. Ale wtedy ona, słyszę to i chyba się nie mylę, ona mówi, że już idzie. Żegna się ze znajomymi. Znowu patrzy w moją stronę. Na mnie, ale jakby nie na mnie. Zupełnie gdzieś indziej. W rozpaczy jestem.

Zaczynam Zrywam jeszcze się nagle zapamięta na równe nogi. Chrząkam jeszcze. Widzę, jak podaje dłoń swoim znajomym. Widzę to

ona wtedy znowu na mnie patrzy i jakoś tak mi się wydaje, że nieznacznie zaczyna się uśmiechać! Uśmiechać? Tak, uśmiechać! To na pewno był uśmiech! Krótki, delikatny, prawie niezauważalny, ale jak ale najbardziej prawdziwy uśmiech. Myślę, że tego tak zostawić nie mogę i niby przypadkiem

niewinny m, obnażając przy okazji jakby piękne pośladki, uda i kostki. Wszystko dzieje się w ułamku sekundy, wszystko paraliżuje mój dalszy krok. Oddycha m spokojnie, staram się stąpić głupie myśli. Uśmiecha m się sztucznie do siebie, nawet mówię na głos, że na to pe tyłk wn o o my się śli, uda dur , że wsz my yst śli i ko wte będ dy zie mój dob wzr rze. ok Zac pad iska a m na kilk alej a kę, raz na y któr ner ej	sukienki. Leżę jak długi i wszyscy się ze mnie śmieją. Myślę sobie, że muszę to jakoś wyttrzyma ć, że muszę wyrzec te durne myśli z głowy. Myślę tak i nagle coś czuję. Czuję coś znajomeg o, coś zupełnie absurdaln ego, coś, co mam nadzieję, że nie jest tym, o czym myślę, ale nie tety jest. Nie stet y wie m już, mó gł po wst rzy ma ć i że	dobrze wychowa na, więc cierpliwie powtarza. A ja wciąż nic nie mogąc usłyszeć zaczynam mówić coś. Cokolwie k. Byle mówić. Byle nie usłyszała, że nic nie rozumiem . Mówię i dopiero po chwili dociera do mnie, że słyszę swoją własny głos. Otwieram oczy. Stoję wciąż w tym sam ym mie jscu . Stoję ę, nie rus za się i mó wię na gło s! Boż e! Ma m	szeroko. Widzę, że przy uśmiechu jej nosek tak ślicznie się marszczy. Widzę te równe białe zębki. Patrzę na gładkie policzki i czoło. I słyszę, jak zaczynam do niej mówić, że jest cudowna, że nigdy nikogo takiego nie widziałem , i że jestem zakochan y po uszy. Ona wte wte dy dy mó zac wi, zer że wie to ni bar się dzo po usz y. Zac zer wie ni się i nie będ z nie zak mo och gła wy krzt m,	zrobić! Może podejść teraz? Od razu? I od razu powiedzie ć, że ją kocham? Zacznie się śmiać. Na pewno zacznie. To może powiem, że chcę być z nią do końca... Nie, to głupie. Ja nie chcę wyjść na aż takiego głupka. Może powiem, że się ślicznie uśmiecha Albo powiem, że ma na gło wie liść . Pię kny jesi enn y liść . Ale ona nie ma taki ego liść ia! Wi ęc nat	i jakby nie widzę. Coś mi się dzieje ze wzrokiem. Wszystko się spowalnia . Zaczyna skakać. Rozmywa ć się zupełnie. Mówię sobie, teraz albo nigdy! Teraz albo nigdy i podchodz ę. Robię kolejne dwa kroki i słyszę nagle moje imię. Patrzę na nią, ale ona go nie wypowiad a. Nawet go nie zna Wt prz edy ecie od ż! Prz ca ecie m ż się nig dy nie z ma wia liś my! I zno wu słysz ę! Od wra ca	drgnąć. Odgłosy parku, krzyki dzieci i szczekani a psów – wszystko to przestaje do mnie pływać. Jedyne co widzę to powtarzan y w zwolniony m tempie uśmiech i odwróteni e głowy. Uśmiech i odwróteni e głowy. Uśmiecha m się. Wiem, że to było do mnie. Na pewno do mnie. Wstaję, otrzepuję spo dni e i rus za m. Rus za m nat ych mia st. Nie ma sen su cze kać . Nie ma	uśmiecha m się do niej króciutko. Zupełnie zdawkow o i błyskawic nie, po czym udaję, że głowę odwracam i czekam. Po krótkiej chwili spojrzała i również się uśmiechn ęła. Tak samo jak wtedy. Więc jednak! Rozanielo ny, rozochoco ny uśmiecha m ponownie wy i mo my wni śle e i sob ie, że wys tarc zy pod ejść , prz ykl ękn ąc na kol ani e i po wie
--	---	--	--	--	---	--	---

wo	śro	nas	kie	nad	zer	to	usić	ych	ytas	idą	m	naj	i	jaki	dzi
wo	dku	rał	hnę	ziej	knę	jej	sło	mia	z	w	się.	mni	ona	mś	ec
pięś	wie	na	zar	ę,	ła.	schl	wa.	st	jak	moj	To	ejsz	też	inn	...
ci.	lki	mni	az	że	Zer	ebi	Wł	idź	ma	ą	kol	ego	chc	ym	Jed
Chr	kor	e z	naj	nikt	knę	a,	aści	po	na	stro	ega	po	e	zup	nak
zək	zeń	całą	gło	teg	ła!	ale	wie	liśc	imi	ę.	!	wo	do	ełni	wte
am	wys	swo	śnie	o	Pop	ona	tak	!	ę.	Idą	Star	du,	mni	e.	dy
dla	taje	ją	j	nie	atrż	już	ją	Pój	On	i	y	by	e	Jaki	...
dod	.	brut	jak	uśł	yła!	ma	zat	dzi	a	ma	zna	nie	pod	mś	Wt
ani	Zad	aln	potr	ysz	Na	kog	ka,	esz	odp	cha	jom	pró	ejsć	taje	edy
a	rzał	ości	afię	a!	jej	oś.	że	i	owi	ją.	y.	bo	?	mni	uś
sob	em.	ą.	. To	Zre	twa	Już	zak	po	e i	Cie	Pod	wać	Jeśł	czy	mie
ie	Po	Czu	ten	sztą	rzy	ma	rztu	wie	wte	szą	cho	.	i	m	chn
ani	my	ję,	kur	,	nie	kog	si	sz	dy	się,	dzi	Nic	ma	bar	ęła
mu	śłał	że	z!	wsz	był	oś!	się	że	po	że	do	nie	och	dzi	się
szu	em,	tylk	To	y	o	Nie	czy	mia	wie	mni	mni	trac	otę	ej,	zno
i	że	o	ten	ko	žad	!	mś.	ła	sz,	e	e.	ę,	i	co	wu.
wy	tęđ	chu	cho	jed	nej	Tak	Jak	na	że	spo	Wit	bo i	tak	le	I
zy	y	stec	lern	no,	rea	nie	ąś	gło	ją	tkal	am	tak	stoi	ko,	ten
wa	nija	zka	y	czy	kcji	mo	dro	wie	chę	i.	y	jej	i	prz	uś
m	k	,	kur	kto	. Po	że	bin	!	On	na	się.	nie	się	yzn	mie
od	nie	tylk	z.	ś to	pro	być	ką	On	a	ch	Mó	zna	zast	aję	ch
idio	uda	o	Patr	śł	stu	!	ślin	a	ch	ci	wi,	m,	ana	mni	był
tów	mi	nag	zę	zał!	patr	Zac	y.	wte	wil	zą,	że	wię	wia	e	już
za	się	łe	na	Był	zył	iska	Zac	dy	ę	a ja	się	c	?	oni	zup
te	prz	wy	nią.	eby	a.	m	zni	uś	por	już	czy,	jeśł	Bo	eśm	ełni
cafe	ejśc	cier	Wi	ona	Ró	ocz	e	mie	wie	m,	ze	i	dla	iela	e
abs	. W	ani	dzę,	teg	wni	e	Patr	zleć	sz,	że	lubi	e	go	, i	jaw
urd	pan	e	że	o	dob	zę	zleć	,	pon	to	taki	odr	go	każ	ny,
aln	ice	mo	roz	nie	rze	na	zę	bar	iew	az	e	zuc	do	e	otw
ości	zac	że	ma	śł	mo	nią	nia	dzo	mu	kon	prz	i	go	zast	arty
,	ząłe	urat	wia	zała	gła	z	gło	gło	sisz	iec,	ypa	bed	go	ano	,
któr	m	ow	i	!	mni	dal	śno	wie	za	sko	dki,	ę	pod	wię	szc
e	szu	ac	bła	Żeb	e	eka	kas	to	mie	ńcz	bo	dok	tym	drz	zer
mi	kać	moj	ga	y	nie	i	zleć	taki	nie	yły	um	ład	drz	dals	y,
się	wzr	e	m	ona	zau	zac	! Ja	e	kilk	się	ówi	nie	ew	m	zde
roją	oki	sku	Bo	nie	waż	zyn	zac	rom	a	mar	ł	w	tkw	str	mas
w	em	rcz	ga,	zob	acz	am	znę	ant	waż	zen	się	tym	i.	tegi	ko
gło	inn	one	żeb	ac	yła	Mo	gła	ycz	nyc	ia o	z	sam	Prz	ą,	wa
wie	ej	do	y	yla	we	gła	tylk	ne i	h	poz	kim	ym	ecie	któr	ny.
.	dro	wie	tylk	we	o	omi	zast	ost	ne i	nan	ś	mie	ż	ano	I
Nas	gi,	lko	o	mni	e	eść	ana	uki	że	iu	inn	jscu	roz	wła	śnie
tęp	zup	ści	jak	ko	wzr	ć,	wia	wać	ona	bar	ym,	.	mo	w	te
nie	ełni	ziar	naj	e	mpl	czy	ć,	. Będ	bar	dzo	a	Idę	wa,	mo	dy
obi	e	na	cisz	ko	em	w	em	ę	lubi	!	spo	ku	któr	me	zro
ecu	inn	poc	ej!	ego	etn	ogó	i	ude	jesi	! To	stał	niej	ą	nci	zu
ję	ej	zuc	Tyl	idio	ego	le	nic	rzał	enn	! Nie	mni	,	pro	e,	nia
pop	mo	ie	ko	ty,	idio	wię	wię	w	e	! Tak	e.	idę	wa	nie	łem
raw	zli	wła	jak	ty,	ty,	któr	cej!	pod	liśc	być	Pyt	doś	dzi	mo	, że
ę	woś	snej	naj	któr	któr	y	Ale	cho	ie,	nie	am	ć	nie	że	już
i	ci.	war	cisz	y	stoj	mo	mo	dzi	cy	mo	z	szy	jest	być	nie
męś	Wt	tośc	ej!	stoj	ąć	że	ze	ć.	cy	ze!	kim	sz	inn	inn	mu
two	edy	i.	Wt	ąć	na	ze	A	ze	aż	ce!	, a	bko	inn	a	szę
i	to	W	edy	na	d	z	d	wet	w	! O	o	a	z	o	p
z n	w p	N W	k w	ś d	d z	j j	w w	m l	O I	M U	o o	a i	z p	o o	p w

a a ł o a y i i r w o a e e s r a u n j a a d n n l c a o d d o
 c g ł a c g j c i a r ó c h ó j r w ó j u ś ś z s r a u n j a a d n n l c a o d d o
 z l ś z ł g j c h a t r d c h r z w ó j u ś ś z s r a u n j a a d n n l c a o d d o
 y e n i e m ł y p ó c z ł y m r u t e m K r y s u l e g a n o ł z a ł i r z a ł y r z i e
 n s i e m ł y p ó c z ł y m r u t e m K r y s u l e g a n o ł z a ł i r z a ł y r z i e
 a m ł y p ó c z ł y m r u t e m K r y s u l e g a n o ł z a ł i r z a ł y r z i e
 o d s o c z ł y m r u t e m K r y s u l e g a n o ł z a ł i r z a ł y r z i e
 p c a j e m ł y m r u t e m K r y s u l e g a n o ł z a ł i r z a ł y r z i e
 o c z ł y m r u t e m K r y s u l e g a n o ł z a ł i r z a ł y r z i e
 z ł y m r u t e m K r y s u l e g a n o ł z a ł i r z a ł y r z i e
 a j e m ł y m r u t e m K r y s u l e g a n o ł z a ł i r z a ł y r z i e
 t s n j m e I n i e j a k o m p l i s y k ł a j n o w y c i a g a b l o i e k p
 k p p y j e I n i e j a k o m p l i s y k ł a j n o w y c i a g a b l o i e k p
 u i y j e I n i e j a k o m p l i s y k ł a j n o w y c i a g a b l o i e k p
 t k w j e I n i e j a k o m p l i s y k ł a j n o w y c i a g a b l o i e k p
 e n j a p e n j a p e n j a p e n j a p e n j a p e n j a p e n j a p e n j a p e n j a p
 m g c y c h d e p o t w n d u n . J e w y c i a g a b l o i e k p
 a s o s , p o p a t k e , k a l e p e w i o n d ó b r y
 c h i p o p a t k e , k a l e p e w i o n d ó b r y
 i s o p l h e , k a l e p e w i o n d ó b r y
 y k c a t ó h r y p t i e n u d ó b r y
 z ó a t ó h r y p t i e n u d ó b r y
 n r c ó h r y p t i e n u d ó b r y
 y y h r y p t i e n u d ó b r y
 a p t a k n a d ó b r y
 k t o m a k n a d ó b r y
 t o t a k n a d ó b r y

Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że patrzy na mnie. Zaczerwieniłam się. Poczułam gorąco na twarzy. Musiał to zobaczyć, bo zaraz odwrócił wzrok. Ale ja już nie mogłam się wycofać. Pomyślałam, że teraz albo nigdy. Powiedziałam sobie, że muszę to w końcu zrobić. Że muszę do niego podejść, muszę powiedzieć...

Bielany
25 września – 1 października 2007

Jako drugi tekst październikowego numeru krótka nowela Ryszarda Floriana o niemożności uwolnienia się od własnych urojeń.

Zapraszamy serdecznie

Redakcja

Ryszard Florian

Piekło osobiste

Obudził się wcześniej niż planował; nie chciało mu się spać. Usiadł na łóżku, uśmiechnął się. Wczorajszy dzień nie należał do najlepszych. Przedwczorajszy też nie. W zasadzie nie pamiętał dnia, który mógłby znaleźć się w kategorii „Najlepsze dni mojego życia”. Mimo tego uśmiechnął się.

- Ten dzień będzie lepszy – powiedział do siebie.

Miał już wstać i przygotować sobie jakiś smakołyk na śniadanie, kiedy usłyszał kroki w korytarzu. Wiedział kto to, wiedział kim była i po co przyszła. Zawsze przychodziła, kiedy się uśmiechał, kiedy coś mu się udawało, kiedy świeciło słońce, kiedy ktoś mówił mu coś miłego.

- I co tak siedzisz? – Spytała wchodząc do pokoju.

Nie odpowiedział, poprzestał na wpatrywaniu się w podłogę.

- Ignorujesz mnie? – Stała nad nim – Nie chcesz na mnie patrzeć? Może boisz się mojego widoku? Brzydzisz się mną? – Dodała z satysfakcją

- Odejdź

- I dobrze – udała, że go nie usłyszała. – Może nareszcie nauczysz się żyć bez mojej pomocy. Może twoja egzystencja nabierze w końcu kolorów.

- Odejdź – powiedział bardziej stanowczo

- Ohoho! – Zapiszczała – No proszę! Jaki on stanowczy. Prawie mnie przekonałeś. Jednak oboje dobrze wiemy co się stanie jeśli teraz odejdziesz. Już kiedyś to zrobiłam. Nie pamiętasz? To było jeszcze w podstawówce; poszedłeś do szkoły taki pewny siebie, taki szczęśliwy. I co? Wróciłeś zapłakany, bo jakiś młodszy chłopak wyrzucił twoją nową czapkę z daszkiem przez okno. Zresztą nie dziwię mu się. Była paskudna.

Wstał z łóżka i poszedł do łazienki.

- Był ode mnie większy – wyszeptał po drodze.

Umył ręce i zabrał się do czyszczenia zębów. Tuż za nim cały czas stała ona. Widział ją w lustrze, uśmiechała się patrząc mu w z pogardą oczy.

- Był większy? To straszne. – Złośliwa ironia sączyła się z jej rozlazłych ust – A ci chłopcy z liceum? Też byli więksi? Kazali ci siedzieć na sedesie w szkolnej ubikacji i udawać, że jedziesz samochodem. To dopiero było żałosne. Nie daliby ci spokoju do końca liceum, gdybyś nie zmienił szkoły.

- Przestań!

Z wrzaskiem odwrócił się za siebie, jednak jej już tam nie było. Wrócił do mycia zębów.

- Wiesz, to zastanawiające. – Ciągnęła stojąc w drzwiach. – Wszyscy, którzy cię kiedykolwiek gnębili byli albo młodszy, albo mniejsi od ciebie. Wiesz czemu?

Splunął białą pianą do umywalki

- Nie.

- Bo tym większym było cię po prostu żal. Zawsze byłeś taki wystraszony i słaby, zabiliby cię samym spojrzeniem. – Zaśmiała się

- Dość! – Wrzasnął. Miarka się przebrała, walnął pięścią w ścianę, skóra na jednej kostce pękła zostawiając czerwony ślad na kafelkach. – Daj mi spokój! Daj mi wreszcie spokój...

Łkając padł na kolana, schował twarz w dłoniach.

- Po co? Po co jesteś?

Jego płacz przerwał miarowy pisk budzika. Przecierając oczy poszedł go wyłączyć. Ubrał się niezdarnie, wciąż pochlipując. Po drodze do kuchni zatrzymał się przy lustrze.

- Jak ja wyglądam? – Był cały czerwony, oczy miał podpuchnięte, na policzkach ślady po łzach.

- Jak ofiara losu. – usłyszał kobiecy głos, rozejrzał się przerażony, jednak nigdzie jej nie było.

Wszedł do kuchni, ona szła tuż za nim. Udawał, że nie zwraca na nią uwagi. Ospale wyciągnął bułkę z pojemnika na chleb i ser topiony z lodówki. Przekroił bułkę na pół i zabrał się za smarowanie.

- Więc tak wygląda to twoje wspaniałe śniadanie? – Siedziała naprzeciwko niego wykrzywiając się w złośliwym uśmiechu – Bułka z serem. Oryginalne. A pomyśleć, że jeszcze pół godziny temu chciałeś sobie zrobić „coś super”. Czyżbyś stracił ochotę? – Przyciągnęła na chwilę jego uwagę. – Czyżby to przez ten płacz? To dopiero ubaw. Dorosły człowiek, z poważną pracą, a płacze jak dziecko na samą myśl o szczeniackich latach. Wiesz... inni tak nie robią, nie mieli takich problemów, nie byli żalonymi, bezradnymi ofiarami. Trzeba ci przyznać, że w tej kwestii jesteś wyjątkowy.

- Odejdź!!! – Płaczliwy głos został zniekształcony przez kawałek przeżuwanej bułki. – Przepadnij, rozumiesz!?

Oczy mu błyszczały, w jednej ręce trzymał bułkę, drugą podpierał głowę.

- Zmusz mnie.

Znowu zaniósł się bezsilnym płaczem. Rozejrzał się po stole. Jego wzrok zatrzymał się na nożu kuchennym. Chwycił go i przysunął do ręki, w której trzymał bułkę. Na ten widok wybuchła paskudnym, szyderyczym śmiechem.

- I co chcesz niby zrobić? Ty i samobójstwo? Nawet na to jesteś za słaby...

Zanim skończyła ostatnie zdanie przycisnęła nóż mocniej do tętnic. Spoważniała.

- Daj sobie spokój. Tylko udowodnisz, że cały czas miałam rację; że jesteś za słaby by żyć. Zresztą naprawdę chcesz, żeby to wszystko poszło na marne? Te wszystkie lata twojego życia? Cała nauka i praca? Wszystko stracisz, a za samobójstwo to do nieba nie trafisz.

- Nie ma nieba...- wyszeptał wstając – ani piekła, ani Boga, ani diabła! Nic nie ma!

Rzucił w nią nożem, później bułką, w furii przewrócił stół, ale jej już nie było. Tylko nóż dyndał wbity w szafkę, a bułka rozsmarowała się serem po podłodze. Dyszał.

- W piekło nie wierzysz, ale je sobie na ziemi urządzasz – zapiszczało jakby z oddali w jego głowie. Pozbył się jej, ale to ona wygrała.

Kwiecień 2005

Adolf Nowaczyński żyjący w latach 1876-1944 był wybitnym polskim publicystą, satyrykiem i krytykiem literackim. Jego twórczość literacka uwidaczniała się w postaci licznych dramatów historycznych. W okresie zaborów związany z Krakowem i tamtejszą cyganerią, karierę publicystyczną zaczął jeszcze przed wybuchem I wojny światowej. Stał się jednym z czołowych pamflicistów okresu międzywojennego, słynącym z ciętego, ale dowcipnego języka, a jego utwory cechuje trafna i zwięzła satyra.

W Październikowym numerze wygrzebany z bogatych zasobów Biblioteki Narodowej tekst tegoż autora o spotkaniu ze sławnym malarzem Danielem Mikołajem Chodowieckim w osiemnastowiecznym Gdańsku.

Zapraszamy serdecznie
Redakcja

Adolf Nowaczyński

Chrząszczyk w Gdańsku.

Opowiadanie dla dorastających

Jaś Chrząszczewski, najmłodsza latorośl Chrząszczewskich rodu, szybko i zgrabnie zeskoczył z kuca, podciągnął go bez ceremonii na chodnik kamienny, przywiązał do kamiennego słupka, jeszcze raz rozglądnął się i popatrzył na bramę wysokiego, długiego, wąskiego, chudego domu.

Tak to tutaj. Ulica Heiligengeist-Gasse dom "pod Zielonym Łabędziem". Wszystko się zgadza. Tylko teraz odważnie, śmiało i niczego się nie bać!

W tym domu zamieszkał ten sławny, ten dziwny jegomość o którym teraz wciąż mówią w całym Gdańsku wszyscy dorośli i starsi. Dlaczego tylko o nim tyle mówią, z tego Jaś sobie dobrze sprawy nie zdawał. Jakżeż mógł sobie zdawać, kiedy był uczniem. Dopiero sekundy spędzone w Konkwicie Ojców Jezuitów na Szotlandzie. Wogóle zresztą tak on ze swymi rodzicami jak i inne familije polskie dopiero od dwóch lat przecież przeniosły się do wolnego Gdańska, kiedy prusackie Grenadjery Fryderycjańskie zajęły różne polskie wsie i miasta. Więc skąd on trzynastolatek, skrab, skrzat, mikrus mógł niby wiedzieć, kto zacy jest ten dominus Szodowiecki, o którym wszyscy mówią z taką rewerencją. No, a co za dziwne, dziwne imię...: Daniel!! Daniel w lwiej jamie? Wprawdzie na drugie nosi Mikołaj ale na pierwsze Daniel. I niby to on Polak, a nie Polak, bo przecież w Berlinie mieszka, po polsku nie mówi pono ani w ząb, a tu do swego rodzinnego miasta po raz pierwszy dopiero po trzydziestu latach z wizytą przyjechał.

Poprawił teraz Jaś Chrząszczewski rzemiennych cugli, którymi kucyk był przywiązany i jeszcze raz rozglądnął się po ulicy, w tych godzinach cichej i pustej.

Prześliczna to ulica i taka jakaś dziwna. I całe miasto takie jakieś prześliczne a przytem dziwne, bo to niby całkiem lutrami przepełnione, a tak jakoś jednak Kraków przypomina, a Szwaby tu jakieś i dobre i grzeczne i okrętów tyle mają i ten omszały arsenał i tyle tych spichrzów, młynów, wież, bram, baszt, barbakanów. Właśnie dwunasta godzina bije na ich Marjackim Kościele, potem u Dominikanów, u Franciszkanów, u Katarzyny, u Mikołaja i zaczyna się ta muzyka z wież kościelnych, jak z chmur, jak z nieba... No, ale darmo. Na słuchanie zegarowych kurantów nie pora. Trzeba nabrać odwagi i swoją misję teraz wypełnić i stawić się przed obliczem samego dyrektora Berlińskiej Akademii Malarskiej i wręczyć mu ten oto list.

Wyjął Jasio spod żupanika epistołę w żółtej kopercie z pięknie przypięczętowanymi nalakowanymi herbami. List był od Jasiowej starszej siostry z korną propozycją oraz z przynależnymi komplementami i duseramy. Że to niby mistrz nad mistrze, globalnej glorii malarz zjechawszy łaskawie do Denziga wielką galerję krewniaków i znajomych z polskiej society w Gdańsku, na dobrowolnej banicji actualiter osiadłej, konterfektuje, że to niby czarowne sylwetki i miniatury Chodowieckiego pędzla lub rylca posiadały już szczęśliwie i wojewodzina pomorska, jejmość pani Przebendowska i Prymasowa bratowa, comtesse Podolska i strażnikowa koronna pani Czapska, ba,

nawet kuzynka najbliższa Chrzęszczewskich cioteczne Ledóchowska starościanka, tedy i ona, Chrzęszczewskam jako że pono urodziwa, kurażu niepomiernego nabrawszy, braciszka swego z listem wysyła, suplikując najpokorniej o oznaczenie terminu, w którymby do kopersztychu, pozować i siedzieć mogła, z czego prezent imienninowy dla Babci Dobrodziejki uplanowan. Epistoła była po francusku, adres na kopercie zasie po niemiecku:

“Eurer Hochwohlgeboren Herrn Daniel Nicholaus Chodowiecky Königlich preussicher etc, etc”.

Kołatką tedy zakołotał teraz Jasio Chrzęszczewski, poczem, gdy otworzono, w kilku susach wbiegł na trzecie piętro prastarej Pastoriusów kamienicy. Serce mu biło jak przy konfesyjonałe, zimny pot wstał na czoło, na policzkach rumieńce, a w ręku list kurczowo trzymany. Byle się tylko dobrze wywiązał z powierzonej mu misji.

Przeżegnał się Jaś i zapukał. Głos mocny stentorowy:

- Entrez! Herein!

Ani spostrzegł, jak już stał na środku szerokiej izby, butami galantnie szurgał w pół zgięty, czapę do serca raz po raz przykładając, oddech łapał i patrzył przed się. Za stołem lekko pochylony siedział miło uśmiechnięty mistrz nad mistrze w perucezce maleńkiej, napudrzonej, z warkoczykiem znów warkoczykiem spiętym. Miał na sobie szlafrok pstrokaty z chińskiej kitajki żółto- złocisty, a przed sobą deseczkę z kartonami, przy których, jako że majster nad majstry i teraz coś majstrował. A w prawej ręce długie spiczaste kredki. Głowy nawet nie podniósł, nie popatrzył, jeno burknął dość niecierpliwie:

- Willkommen! Was neues? - Co nasz Jaś w mig zrozumiał, jako że u Ojców Jezuitów na Sztotlandzie po niemiecku głównie studia się odbywały.

Najmłodsza latorośl Chrzęszczewskich znów szurgnęła kopytkami, poczem śmiało ku stołowi pomknął, no i wreszcie list wręczył. Pan Chodowiecki spojrział na polskie pacholę, uśmiechnął się dziwnie, pokiwał głową z harcpcfem i list otwierał.

Jasio miał teraz czas rozglądać się po kamerze pracowniczej. Trzy okna ku niebu, z boku kalawikord, przy nim duża harfa (może Eolska?) na środku gradus, jak pod katedrami ojców bakałarzy a na gradusie taburecik. Moznaby powiedzeć, że nic już więcej, gdyby nie multum obrazów i kartonów pod ścianami i na innym stole, na kozetce, na komodzie, na fotelach i na posadzce. Na obrazkach zaś, co gdzie oko padnie, znajome Jasiowi postracie skonterfektowane. A to sam ksiądz Prymas Podolski, a to sam ksiądz biskup Warmiński, bajkopiszący Krasicki, a to sam imci szambelan Husarzewski, generalny komisarz Jego Królewskiej Mości w wolnem Mieście, a to znów strażnikostwo Czaccy, on w kontuszu, zadzierzysty, z wąsem, jak u suma, jejmość w robronach z fryzurą, sterczącą do pierwszego piętra... Sami co prawda dorosli, ale zawsze sami swoi. Jaś Chrzęszczewski zaczął nabierać animuszu.

Nie taki diabeł straszny, skoro tylu Polaków z Polski i to nie tylko samych wielmożnych, skoro tu i ówdzie na obrazkach i flisaki są, i oryle i piaskarze, i tacy, co miotelki sprzedają, ba, nawet spod kościoła św Katarzyny znajome polskie kaleki, diadygi i dziadówki...

I teraz, albo mu się przyśniło, albo wyraźnie usłyszał, jak spoza stołu szło figlarnie recytowane i skandowane: pod....golona pałka, po czemu go....rzałka... podgo...lo...na pałka... po czemu gorzałka?

Wyraźnie po polsku mówi, łamanie... gebrochen, ale po polsku! Dyrektor Akademii z Berlina, sławny, przesławny malarz, co Króla Fryca ze Sanoucci i tylko generałów starych sztychował, ten sam, który od tylu książeczek angielskich, francuskich, niemieckich śliczne robił ryciny, ten sam “Prusak niemiecki” teraz do niego po polsku. Więc się już nasz Jaś i rozkomosił i nabrał kontenansu i podniósł podgoloną głowinę no i wprost w głos się roześmiał... Pan Chodowiecki powoli wstawał patrząc na Jasia, patrząc i patrząc. Wyciągał tabakierę z kieszeni szlafroka, zażywał tabaki, niuchając pod nosem. I znów patrzył na Jasia serdecznie a wesoło. Wreszcie schował tabakierę, powoli wyszedł zza stołu, sięgnął ręką po kredki, zmarszczył brwi, chrząknął basem...

Jaś stał grzecznie, spowrotem nieco z pantafyku, niepewny, omal że zaniepokojony. Pan Chodowiecki dość niepodziewanie wskazał teraz kredkami na gradus z taburetem i nagle huknął, jakby strzelił omal:

- ...Siadacz!

Jaś się zawahał. Ale tylko chwilę, gdyż od razu opanowała go radość niepomierna; będzie pierwszym niedorośłym Polakiem, którego skonterfektuje mistrz Chodowiecki z Berlina.

Jednym susem znalazła się najmłodsza latorośl Chrząszczewskich na gardusie i już siedziała na taburecie. I już zrobiła śmiesznie poważną minkę.

A Chodowiecki już zasiadł powrotnie za stołem, deseczka przed siebie i już śpiczastą, długą, kredką... raz po raz, to podśmiewując się do siebie, to mrużąc, to coś nucąc... Jasio siedział spokojnie profilem, znanym profilem rodu Chrząszczewskich do okna, ku światłu odwrócony.

I teraz słyszał wyraźnie, słyszał jak od stołu coś mówiło dziwacznym basem:

“Warszasky trze....wiczek
Toruński per...niczek
Krakowska książeczka
A gdancka wódeczka.”

I drugi raz to samo:

“Warszasky trze....wiczek
Toruński per...niczek
Krakowska książeczka
A gdancka wódeczka.”

I tak jeszcze dwa razy...trzy... cztery aż i kontrefekt najmłodszej latorośli .. arcydzieło chluby rodu Chodowieckich był gotowy.

-Fertig- krzyknął teraz stary pan w chińskim peniuarze... rysunek rzucił na stół pomiędzy inne...

Teraz znów wziął do rak list i kopertę.

Jasio nasz rozradowany, dumny, wesóły, już był znów na środku izby. W rękach miał czapę i czekał, patrząc swobodnym, spoufałym wzrokiem na tego znamienitego pana, który bywał na obiadach u Księcia Prymasa w “Angielskim Domu”, dla którego uczczenia wspaniały bankiet wydał Senat w “Arturshofie”, którego zawsze po prawej ręce przy sobie w kolonie sadzali i pan wojewoda Przebendowski z Rzućewa i pan generalny J. K. Mości...

Jaś już całkiem śmiało zbliżył się do stołu, stanął i wyginał się, aby zobaczyć swój kontrefekt...

Nagle stało się coś strasznego.

Stary Chodkiewicz zerwał się zaperzony, jak oparzony. Czerwony był jak piwonja, trzęsący się jak osika, wymachujący rękami jak wiatrak, tupiący nogami jak dyrygent fałszywej kapeli. Odrazu jakby zachrypniętym głosem jał krzyżeć tym razem z gruba po niemiecku:

- ... Chodowiecki. Wer ist Chodowiecki? Wo ist Chodowiecki? Weswegen y... y... y... y...y...? Bin ich doch ein Pohle! Ich mache mir eine Ehre daraus ein wahren Pohle zu sein!...Y... Y... Y... Y... Chodkiewicky! Chrząszczewski! Sobieski! Leszczyński...

No i już teraz sypało się z niego jak z rozprutego worka, czy jak z rogu Amaltei, a wszystko to po niemiecku, z pruska po berlińsku, twardo, z pasją wielką.

Najmłodsza latorośl Chrząszczewskich rodu stała zdętwiała. Na początku trochę rozumiała, w środku już mniej, na końcu ani słowa. Tylko tyle jeszcze skombinowało pachole, że dominus Chodowiecki, gdy miał osiem lat namalował Króla Leszczyńskiego, że jego ojciec (seeligen Andenkens) Gotfryd mu było, mówił po polsku expedite i perfect, że maestro, gdy miał lat szesnaście był w Krakowie i tak dalej, i tym podobne i tak w kółko...

Skąd mu przyszło raptownie z taką pasją wybuchnąć przed małym pacholeciem, to niewiadomo... Jakby go ktoś przydepnął w bolący nagniotek...

Jaś Chrząszczewski stał na środku izby błądy, przerażony, nieporadny. Przesępował tylko z nogi na nogę pot kroplisty ściekając z podgolonej głowy. Wreszcie pan Chodowiecki z Chodowieckich z Borowa (pod Gniezmem), zaczął się jakoś temperować i uspokajać.

Jeszcze jak indor furczał i sapał jak kowalskie mechy, ale już wolniej i ciszej. Moderato. Wreszcie wyszedł szybko z za tego swojego stołu i przed Jasiem stanął.

Widocznie żal mu się teraz zrobiło zdekoncentrowanego, struchlałego, biednego Sarmacy, który niedawno jeszcze tak mu grzecznie, statecznie pozował i tak się doń ufnie, rozradowanie

uśmiechnął. Znów nasz pan Chodowiecki stanął obok tuż obok, przyciągnął chłopca ku sobie, i jął go całować po "ogolona pałka".

Przez chwile zdawało się Jasiowi że nawet lzy mu kapnęły na łepetynę.

-...Teraz iszcz! Sziotsra być jutro rano. Die Skizze kann mir gestohlen werden... Ist gelungen. W Museum wiszeć bendzie... Amen. Au revior... Z Bogiem!

I odprowadził pacholika małego, wpół trzymając i głaszcząc, aż do samych drzwi.

A Jasio go po rękach całował, a sam jeno płacz powstrzymywał, na który mu się ni stąd ni zowąd zbierało w tej alteracji.

A pan dyrektor Królewskiej Akademii Berlińskiej mrucał doń dalej niepowstrzymanie.

- Kein Szodowiecki, kein Chodowiecky! C h o d o w i e c k i sind aus Borow! Kein Teutscher! Verstanden? Ein Pole!

I jeszcze w sieni przy balaskach, gdy Jasio, kłaniając się raz po raz, wzruszony schodził w ciemną nie tyle klatkę ile wieżę schodową, starszy pan wołał z góry śmiejąc się i powoli z trudem skandując:

...Pszenyca panska
....plynie do Danska...

Już zbiegają najmłodsza latorośl Chrzęszczewskich z pierwszego piętra na parter, kiedy z góry szło jeszcze na dół z trudem wymawiane :

... bez Danska, bez Wieliczki
Nie warta Polska swieczki.

Wreszcie znalazł się Jaś na dole w pięknej antresoli Pastoriusowego patrycjuszowskiego domu, dębowymi kaflami wygładzanej, z olbrzymim mosiężnym żyrandolem od okapu wiszącym, z szafami monstrualnie wielkimi, na których stały drewniane statuy, cudownie "Cztery Pory Roku" figurujące.

Sprzed domu dobiegał hałas i zgiełk dużego jakby zbiegowiska. Tak, o tej porze zwykle wyjeżdżał na obiad do polskiego prymasa specjalnie posyланą poń karocą z dwoma hajdukami na tylnich za siedziskiem stopniach sam der threue Meister, gość Gdańska, dziecko Gdańska, klejnot w koronie Gdańskiej.

Korzystano z okazji aby mu zawsze urządzać wesołą owację z vivatami i z odprowadzającą karocy aż do "Angielskiego Domu".

Jasio otworzył sobie z trudem ciężkie drzwi i stanął na płytach kamiennych beiszlagu rozradowany, że jego kuc stoi na miejscu, jakby stał i jak mu wypadało.

Tłum strojnych, bo bogatych (z polskiej pszenicy) mieszczan z dużą atencją patrzył na podgolonego Sarmacika.

Jakieś dziewczę słomianowłose napewno jakaś Erika, szybko, usłużnie odplątywała rzemienny węzeł kucyka. Wszyscy uformowali jakby szpaler do drzwiczek i schodków karocy. Wspaniale prymasowskie siwosze rżały wesoło. Ci i owi spoglądali w górę ku trzeciemu piętru, gdzie kwaterą stanął przesławny malarz, rytownik, miniaturzysta, ilustrator. Jaś Chrzęszczewski już dosiadał swego kucyka. I wtedy to raptownie otwarło się szeroko jedno z okien na trzecim piętrze. Ukazała się w niem sylweta ukochanego artysty: a oblicze dziwnie roześmiane, wesołe figlarne.

Tłum na ulicy zafalował i wybuchnęły okrzyki:

-Vivat! Vivat! Vivat!

I podrzucania kapeluszków w górę. I podnoszenie dzieciek żeby zobaczyły. I oklaski, i okrzyki Chodowiecki dał znak ręką jakby z okna miał coś ważnego przemówić i o głos i o silentium prosił.

Mały Chrzęszczewski już na swym kucu ukochanym poderwał podgoloną pałkę do góry i wymachiwał czapką szarmancko, A tłum się uciszył i czekał.

I wtedy z góry, z okna, poszłoku dołowi, ku ulicy z wolna, z trudem, mozolnie ciężko, ale zwycięsko wymawiane:

Krzonszcz brzmi w trzcinnie...

I drugi raz już lepiej:

Chrząszcz brzmi w trzcinie...

Najmłodsza latorośl rodu Chrząszczewskich uradowana już ruszyła z kopyta w powrotną drogę ku Langgartenowi kiedy tłum wesołych Gdańszczan na Heiligen-Geist-Gasse wokół karocy prymasowskiej słoczony za wezwaniem Daniela, Mikołaja, dwojga imion przesławnego mistrza Chodowieckiego, pochwycawszy dziwaczne słowa, jął je powtarzać chórem i łamiąc sobie języki i krztusząc się...

W oknie stał Chodowiecki i chusteczką wymachiwał ku odjeżdżającemu pacholeciu.

A na dole pod lipami gwar rósł wśród chichotów wesołych:

...Chrząszcz.... brzmi... Chrząszcz... brzmi... w trzcinie...



D. Chodowiecki

Portret polskiego chłopca.

BROSZURA LITERACKA

Dziękujemy za poświęcenie nam kilku cennych chwil, mam nadzieję, że kiedyś, dzięki Broszurze staną się one bezcenne. Jeśli chcesz nam pomóc przysyłając tekst, masz pomysł na otwarcie osobnego działu, chcesz podzielić się z nami swoimi uwagami, lub dołączyć do zespołu redakcyjnego – pisz na broszuraliteracka@wp.pl

Do zobaczenia za miesiąc.

Pozdrawiamy serdecznie.

Redakcja